PODRÓŻE DO GWIAZD

Granatowe, usiane gwiazdami niebo. Ten widok, który fascynował człowieka od zarania dziejów wywiera na nas ogromne wrażenie i dziś. O tym, jak „podróżują do gwiazd" młodzi miłośnicy astronomii z Łodzi, przeczytacie na str. 3.

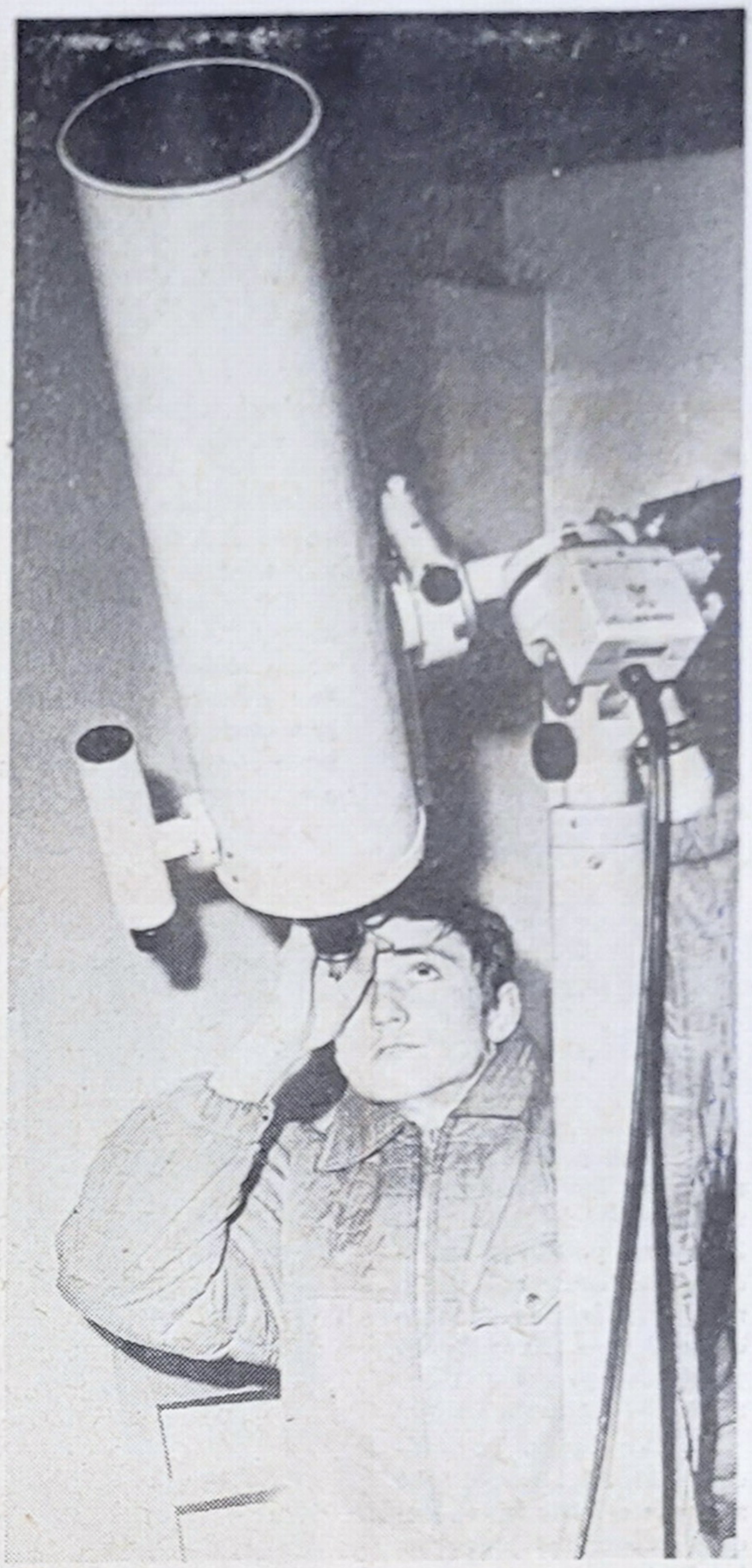

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 33 (2367) | WTOREK 23 kwietnia 1974 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

WŁASNA PRACA SIĘ OPŁACA

Jest nas 45 harcerek i harcerzy. Osób niewiele, ale wszyscy lubimy pracować i bawić się! Często bierzemy udział w akcjach społecznych. Potrafimy także zarobić na własne wydatki. Za pieniądze zdobyte jeszcze podczas jesiennych wykopków oraz otrzymane ze sprzedaży butelek i makulatury kupiliśmy część harcerskich mundurków. Mamy już własny fundusz na zorganizowanie pierwszego wiosennego biwaku i wycieczki. W ostatnich dniach kwietnia jedziemy na zlot. (rj)

Jolanta Woźnicka
36 DH im. T. Kościuszki
w Chwiramie

Siedmiu na ATLANTYKU

W bezmiarze Oceanu Atlantyckiego wygląda jak łupinka. Nawet 80 m² żagla nie dodaje jej wielkości. Na topie masztu powiewa biało-czerwona bandera. To harcerski jacht „Odkrywca" z siedmioma śmiałkami na pokładzie.

Z Gdyni wypłynęli 23 sierpnia 1973 roku. Minął miesiąc ich podróży, a czują się tak jakby dopiero teraz ją zaczynali. Zatoka Biskajska nie jest gościnna dla żeglarzy. Tej nocy Atlantyk daje im pierwszą twardą lekcję. Zrywa się wiatr. Z minuty na minutę jego siła rośnie. Fale rozpryskują się o dziób, co chwila zalewają pokład. Na wodzie tworzą się grzywacze. Sztorm. Zimno. Wokół nic nie widać — ciemno.

C.d. na str. 4

PAMIĘTAJĄ

W dwóch szczepach harcerskich, działających w Toruniu przy Szkole Podstawowej nr 7 i w Technikum Mechaniczno - Elektrycznym powstały Koła Przyjaciół Inwalidów Wojennych PRL. Należy do nich ponad 300 harcerek i harcerzy.

Dziewczęta i chłopcy pomagają potrzebującym pomocy inwalidom, odwiedzając ich w domu. Niektórzy współpracują w organizowaniu wspólnych uroczystości i akademii oraz opiekują się miejscami pamięci narodowej. Natomiast członkowie Związku Inwalidów Wojennych są gośćmi młodzieży na harcerskich ogniskach. (bs)

Alfred Dejewski
Związek Inwalidów
Wojennych PRL
w Toruniu

Chcesz wiedzieć co zrobić ze starymi oponami? Zajrzy na str. 4–5

CZŁOWIEK DZIŚ i JUTRO

Rozważania nad przyszłością kojarzą nam się zwykle z wizjami oszałamiających w formie budynków, super szybkich rakiet kosmicznych i z pożywieniem w pigułkach. Mało kto myśli o tym, jaki będzie użytkownik tych wszystkich wspaniałości — człowiek. Czy również będzie ulegał przemianom w takim samym stopniu jak rządzony przez niego świat?

KOWALSKI ROKU 2000

Wybitny polski socjolog **prof. dr Jan Szczepański** zastanawiając się nad kształtem polskiego społeczeństwa końca XX wieku na przykładzie jednego człowieka — Kowalskiego mieszkającego w dużym mieście — pisze m. in. tak:

„— Czy będzie on pracował krócej i wobec tego spał dłużej? Nie sądzę, będzie rozpoczynał pracę jak i dzisiaj między godz. 8 a 9. Czy będzie jechał do pracy własnym samochodem? — nie, bo nie będzie koło zakładu pracy miejsca na parkingu dla wszystkich pracowników. (...) Praca będzie znacznie intensywniejsza, dyscyplina pracy bez porównania ostrzejsza. Jeśli Kowalski będzie robotnikiem, będą go obowiązywały znacznie ostrzejsze rygory dyscypliny i kwalifikacji. (...) Będzie mógł szybciej podróżować, będzie lepiej zarabiał i poziom jego życia będzie w przybliżeniu 3—4 razy wyższy niż dzisiaj — ale będzie pracował znacznie intensywniej. Skala posiadania będzie więc w wyższym stopniu zależała od skali kwalifikacji, umiejętności i sprawności Kowalskich. Więc bez cudów i bez epoki relaksu. Rok 2000 będzie raczej epoką wymagań i lepszego dostosowania płac do rzeczywistego wkładu pracy. Jeśli komu ten obraz się nie podoba, może sobie skonstruować różowy i przyjemniejszy".

Lekcje w takich klasach-laboratoriach odbywają się dziś na razie tylko w nielicznych szkołach. Dla Waszych rówieśników z 2000 roku nie będzie to już zapewne żaden eksperyment, lecz praktyka dnia codziennego.

NAŚLADOWNICTWO WZBRONIONE!

Gdyby tak zapytać kilkunastu przypadkowo spotkanych przechodniów, co uważają za największe osiągnięcie ostatnich lat — zapewne odpowiedzieliby: — wzrost stopy życiowej. Produkujemy więc coraz więcej różnych rzeczy potrzebnych, wręcz koniecznych. Ale co się stanie, jeśli zaczną one powstawać w nadmiarze? Czyli innymi słowy: czy w nieskończoność można się bogacić i co z tego może wyniknąć?

Przykład niektórych państw zachodnich jest w tym względzie ostrzeżeniem. Rozwój cywilizacji — bo o to tutaj właściwie chodzi — doprowadza na pewnym etapie, już tam osiągniętym, do niespotykanego gdzie indziej marnotrawstwa surowców, energii, a w efekcie pracy ludzkiej.

„— Czytałem niedawno obszerny reportaż francuskiej dziennikarki, która przez dłuższy czas przebywała w Nowym Jorku. Znalazłem tam, między innymi, zaskakujący, ale chyba symptomatyczny obrazek: wysypisko śmieci pełne prawie nowych urządzeń technicznych — telewizorów, aparatów radiowych, magnetofonów. Okazuje się, że uzyskanie pomocy naprawczej jest w tamtych warunkach prawie niemożliwe, a o wiele łatwiej, a nawet taniej jest po prostu kupić nowe urządzenie..." — tak mówił pisarz Stanisław Lem w wywiadzie udzielonym niedawno redakcji „Radaru".

Musimy więc już teraz zacząć myśleć o odpowiednim kształceniu ludzi, którzy będą pracować w usługach. Wymaga to pewnych zmian w myśleniu, bo, niestety, jeszcze ciągle nie wszyscy rozumieją, iż praca w usługach nie jest gorsza od pracy w produkcji. A czasami wręcz cenniejsza ponad wszystko.

Niektórzy specjaliści od gospodarki zakładają, iż w społeczeństwie dobrobytu połowa ogółu zatrudnionych powinna zajmować się usługami. Wtedy dopiero zostanie zachowana równowaga. A więc uwaga! Naśladownictwo modelu społeczeństwa bezmyślnie rozrzutnego — surowo wzbronione!

JAKA PRACA — TAKA ZABAWA

Istnieje nieuzasadnione niczym radosne przeświadczenie, że w związku z automatyzacją przemysłu i zwiększeniem ilości wolnego czasu, ludzie roku dwutysięcznego będą korzystać masowo z niezwykłych rozrywek na wysokim poziomie. Tymczasem obserwacja zmian w tej dziedzinie skłania raczej do wniosku, iż do nowego sposobu spędzania wolnego czasu trudniej się przyzwyczaić niż do nowej pracy. Coraz częściej obserwuje się zresztą zjawisko... „wykręcania się" od ambitniejszego typu rozrywki!

Być może brzmi to niezbyt przekonywająco, służę więc przykładami:

● Wielokrotnie opisywano autokarowe wycieczki „turystyczne" np. do Zakopanego, których uczestnicy przejechawszy na miejsce wytaczali z samochodu beczkę piwa, wypijali ją, po czym pograwszy trochę w karty wracali do domu.

● W kinach największe powodzenie mają filmy łatwe w odbiorze, wyprodukowane bez wielkich ambicji. Każdy nieco trudniejszy film odstrasza wielu widzów.

● Nadal — jak wskazują badania — najbardziej popularnym sposobem spędzania wolnego czasu w dniu powszednim jest... czytanie gazet (73,6 procent badanych). A przecież istnieje już dziś wiele innych możliwości rozrywkowo-wypoczynkowych.

Samo zwiększenie ilości godzin przeznaczonych na odpoczynek i rozrywkę — nie stworzy automatycznie okazji do twórczego rozwoju jednostki. Wiadomo bowiem, że działalność zawodowa pozbawiona elementów twórczych — zubaża osobowość człowieka i tym samym ustala na niższym poziomie jego zapotrzebowania na rozrywkę. Wniosek z tego jasny: chcąc, aby ludzie umieli korzystać w pełni i na odpowiednim poziomie z wolnego czasu, należy im dać szansę rozwijania swej osobowości w pracy. Wtedy przestanie im wystarczać tandetna rozrywka, gdyż stanowiłaby za duży kontrast z ciekawą pracą.

POZOSTANĄ NAJLEPSI

Przez pewien czas słyszało się, a nawet i dziś jeszcze słyszy się biadolenia nad przechodzeniem ludności ze wsi do miast. Ma to być zapowiedź jakichś strasznych kataklizmów. Głodu — bo nie będzie komu pracować na roli, bezrobocia — bo przybędzie ludzi w miastach, które nie mają już miejsc pracy.

Prawda w tym jest tylko jedna: istotnie wieś się wyludnia. W tej chwili już 54,2 procenta ludności Polski mieszka w miastach (w roku 1946 w miastach mieszkało 31,8 procenta ludności).

Jednak ani głód, ani bezrobocie nam nie grożą. Po prostu: w mieście jest coraz więcej pracy, na wsi... coraz mniej. Nasze rolnictwo zaczyna powoli doganiać czołówkę światową. Polega to m. in. na eliminacji ludzkiej siły roboczej, gdzie się tylko da przez zastąpienie jej maszynami. Dowodem na prawidłowość tego procesu jest stałe zwiększanie plonów z hektara, coraz to większe dostawy mleka i jego przetworów, mięsa, jarzyn, owoców...

Można by chyba zaryzykować twierdzenie, że obecnie na wsi pracują nie tylko ci co chcą, ale i ci co muszą, a w przyszłości pozostaną tam tylko rolnicy i hodowcy z wyboru. Pracować będą na najlepszych gruntach — najsłabsze gleby zostaną bowiem przeznaczone pod zalesianie.

Opracował JERZY DĄBROWSKI

PODRÓŻE

ZANIM WYRUSZYŁY Z ZIEMI RAKIETY Z LUDŹMI LUB AUTOMATAMI, BY BADAĆ INNE PLANETY, ASTRONOMOWIE JUŻ ODBYWALI PODRÓŻE DO GWIAZD PRZY POMOCY TELESKOPÓW I RADIOTELESKOPÓW. WIELE MOGLI POWIEDZIEĆ NIE TYLKO O RUCHACH CIAŁ NIEBIESKICH, ALE TAKŻE O ICH BUDOWIE, SKŁADZIE CHEMICZNYM CZY ATMOSFERZE, KTÓRA JE OTACZA...

DO GWIAZD

Pan mgr R. Olbrychowski uczy posługiwać się refraktorem Krzysztofa Wojcieszko.

Miłośnicy astronomii z łódzkiego Pałacu Młodzieży im. Juliana Tuwima nie dysponują oczywiście tak doskonałymi urządzeniami jak astronomowie zawodowi. Ich małe obserwatorium mieści się na ostatnim piętrze Pałacu. Wąskie drewniane schodki prowadzą na platformę, gdzie ustawione są lunety. Nad nimi góruje blaszana kopuła na szynach, którą odsuwa się podczas obserwacji, odsłaniając potrzebny wycinek nieba. Do obserwacji służą dwie lunety. Jedna — to tzw. reflektor, w którym światło od obiektywu do okularu przenoszone jest przez znajdujący się między nimi system luster. W drugiej lunecie, refraktorze, światło przenosi się bezpośrednio od obiektywu do okularu. Warto przypomnieć, że przy pomocy lunety o takiej właśnie konstrukcji włoski astronom Galileusz odkrył 4 księżyce Jowisza i plamy na Słońcu.

Kierownikiem pracowni astronomicznej w Pałacu Młodzieży jest pan mgr **Radzisław Olbrychowski.** Pracuje tutaj od wielu lat i wychował już kilka pokoleń miłośników astronomii. Niektórzy z jego wychowanków ukończyli zresztą astronomię na wyższych uczelniach i zajmują się teraz zawodowo ulubioną dziedziną.

W wielkim mieście, jakim jest Łódź, astronomiczne obserwacje napotykają jednak liczne trudności...

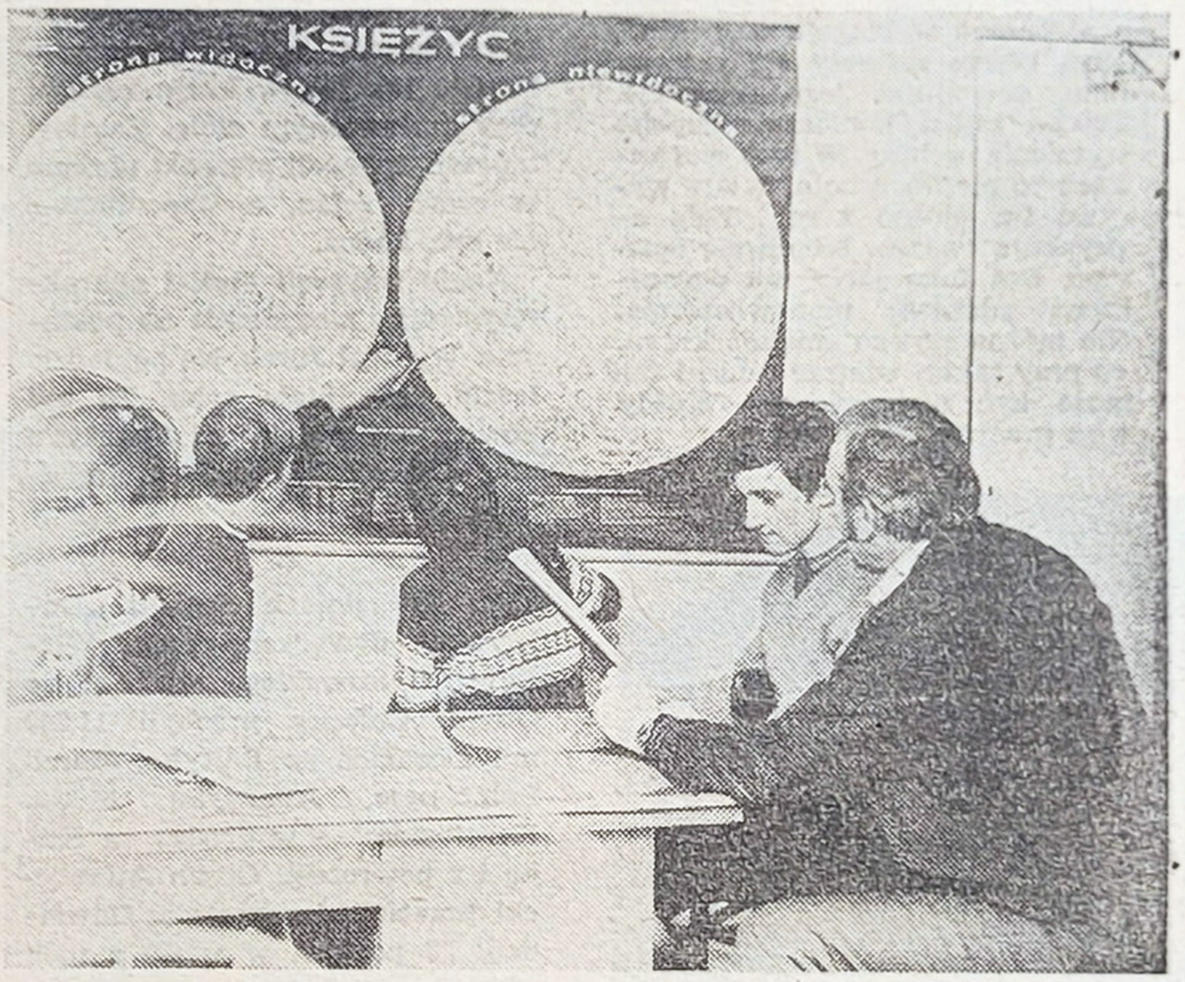

W pracowni astronomicznej przeprowadza się również zajęcia teoretyczne.

Co zrobić, żeby było lepiej widać?

Miasto jest terenem nie nadającym się do prowadzenia trudniejszych obserwacji astronomicznych — mówi uczeń I klasy XII LO w Łodzi, **Krzysztof Wojcieszko.** — Utrudniają je lub czynią wręcz niemożliwymi duże zanieczyszczenia atmosfery i wielka ilość świateł. Miasto wypromieniowuje poza tym wielkie ilości ciepła. Ogrzane powietrze unosząc się powoduje drganie obrazu w lunecie. Obiekty normalnie słabo widoczne nikną wtedy zupełnie. Syriusz — który jest najjaśniejszą gwiazdą na naszym niebie i występuje stosunkowo nisko nad horyzontem, gdzie warstwa atmosfery jest najgrubsza — widoczny bywa bardzo rzadko. By uniknąć tych kłopotów, wielkie obserwatoria buduje się poza miastem. Tak np. usytuowano obserwatoria pod Krakowem i Toruniem.

— Nasze obserwatorium ma jeszcze inną wadę — dodaje drugi z miłośników gwiazd, **Krzysztof Kita,** uczestnik zajęć w kole astronomicznym już od 3 lat. — Mieści się ono w stosunkowo niskim budynku. Ze wszystkich stron jesteśmy otoczeni ścianami innych domów, które również nie pozwalają na prowadzenie obserwacji obiektów położonych nisko nad horyzontem. Byłoby inaczej, gdybyśmy tak mieli trochę miejsca na strychu któregoś z nowych łódzkich wieżowców...

Również 3 lata uczęszcza na zajęcia do pracowni astronomicznej uczeń XI LO **Krzysztof Rumieniecki.** W czasie zajęć rozpoznał on już na niebie aż... 52 gwiazdozbiory i kilka mgławic! Ma w planach na przyszłość studia fizyki astralnej.

— Kiedy byłem w Zakopanem, obserwowałem niebo przez lunetę własnej konstrukcji. Powietrze jest tam czyste, pozbawione pyłów. Przez moją lunetę — o wiele mniej doskonałą niż ta, którą mamy w pałacu — obserwowałem całymi wieczorami gwiazdy u nas niewidoczne...

Pracownia astronomiczna łódzkiego Pałacu Młodzieży to ośrodek bardzo żywy, uczęszcza tu stale 22 uczniów szkół średnich. Jeden z byłych uczestników pracowni — **Jerzy Kierul,** obecnie student I roku astronomii — zdobył w 1966 roku II miejsce w ogólnopolskiej olimpiadzie astronomicznej w Chorzowie.

Podróże do gwiazd, odkrywanie tajemnic innych planet to nie tylko ciekawa wiedza, ale i romantyczna przygoda. Tak niewiele potrzeba, aby uczynić ją jeszcze ciekawszą...

JAROSŁAW WARZECHA

Foto: Piotr Jaskow

Album piłkarskiej reprezentacji Polski

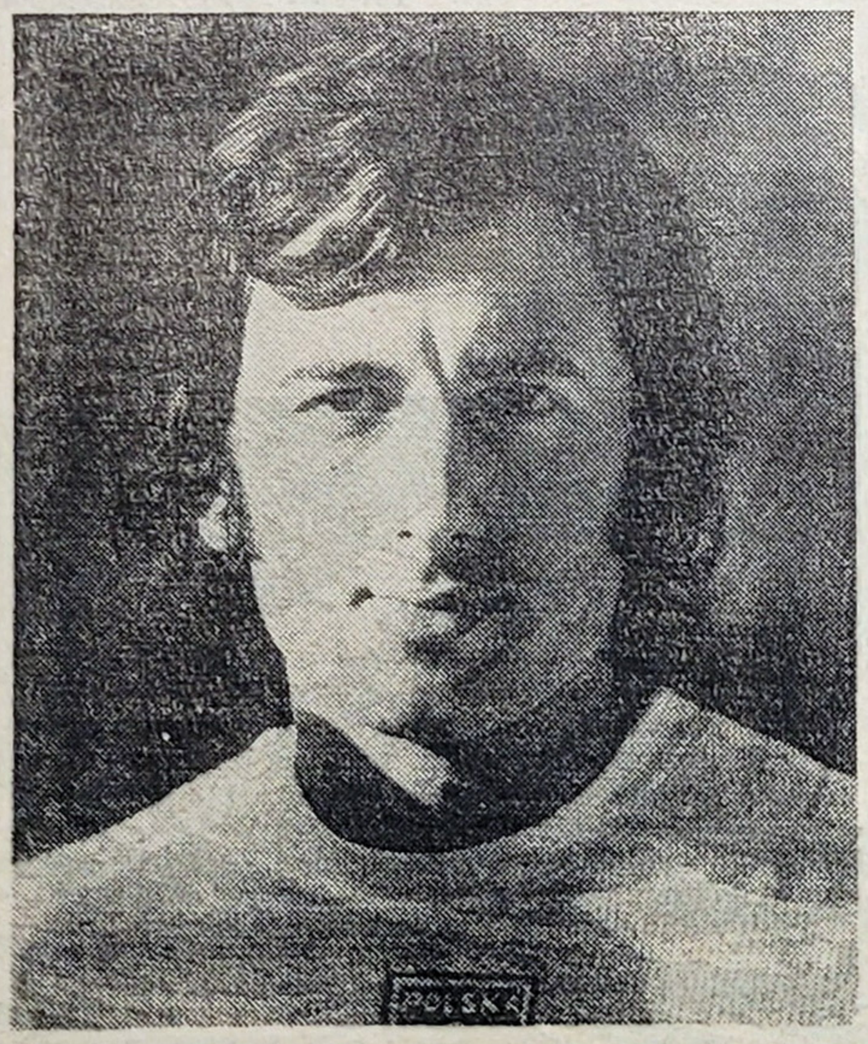

MIROSŁAW BULZACKI

Zawodnik ŁKS Łódź, stoper. Lat 23. Kawaler. Rozegrał 10 spotkań w reprezentacji Polski juniorów, 6 w zespole młodzieżowym i 14 w pierwszej reprezentacji. Rewelacja ubiegłego sezonu piłkarskiego.

PO PROSTU „FUNIO"

Młody piłkarz z łódzkiego klubu w ubiegłym sezonie sprawił wiele radości miłośnikom piłki nożnej w naszym kraju. Bulzacki za swą znakomitą grę otrzymał nagrodę tygodnika „Piłka Nożna" w postaci statuetki piłkarza wykonanej z brązu. Brał udział w niezapomnianym meczu Anglia — Polska na Wembley, lecz także chętnie wspomina swoje spotkanie na boisku ze słynnym holenderskim piłkarzem Johanem Cruyfem. Dał się wtedy zwyczajnie „ograć", był jednak bardzo zadowolony, bowiem Holendrowi nie udało się strzelić bramki polskiemu zespołowi. Na ogół wszyscy piłkarze mają jakieś sportowe pseudonimy. Podobnie jest i z łodzianinem. Będąc jeszcze juniorem wystąpił w turnieju w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Kolegom z drużyny podobało się koreańskie imię Fuczi — nieco je przerobili i ochrzcili Bulzackiego „Funio". Minęło już parę lat, lecz nadal wszyscy tak na niego wołają... (p)

Foto: Mieczysław Swiderski

WYTNIJ — ZACHOWAJ

KUPON 10

Siedmiu NA ATLANTYKU

C. D. ze str. 1

Załoga śpi. Wachtę tylko pełnią: Lech — przy sterze i Andrzej, który prowadzi nawigację i obserwację. Na nich dwóch spoczywa odpowiedzialność za załogę i jacht. Szybko refują żagle. Teraz już mniej kiwa. Są zupełnie spokojni. Taki sztorm to dla nich nie pierwszyzna. Obaj myślą o tym samym: z gorszego się już wychodziło. W ciągu ostatniej pół godziny nocnej wachty nic się już chyba nie wydarzy.

POŻAR NA POKŁADZIE

Nagle Lech poczuł dziwny, żrący zapach, przypominający karbid. Co to może być? Chwila uwagi, napięcia, głęboki wdech... Tak, to acetylen. Szybko przypomina sobie obrazy z ubiegłorocznego rejsu, kiedy taki sam zapach poprzedzał pożar na łajbie.
— Nie mogę odejść od steru! Alarm!

Zaspani chłopcy wybiegają na mokry, kołyszący się pokład.

— Do diabła, nic nie widać! — woła któryś. — Co tak śmierdzi?
— Tli się w pobliżu beczki z paliwem — odpowiada czyjś głos.

Biegną w tamtą stronę. Zaczęła się palić bojka oświetlająca koło ratunkowe. Maciek błyskawicznie ją odcina i wyrzuca za burtę. Już na wodzie bojka wybucha dużym jasnym płomieniem. Oddalają się od niej coraz bardziej. Uff! Niebezpieczeństwo pożaru minęło.

ZŁY I DOBRY OCEAN

Zmienia się wachta. Reszta idzie spać. Schodzą pod pokład. Tu ciepło, zacisznie i sucho. Kładą się do koi i przykrywają puszystymi kocami. Powieki takie ciężkie, oczy zamykają się przywołując pierwsze senne majaki. Jak dobrze. Alarm! Co za głupi sen, przecież alarm był przed chwilą.

Alarm! Do licha, to jednak nie sen! Znowu wybiegają na pokład. Tym razem zerwały się zaczepy foka, powodując jego rozdarcie. Trzeba żagiel koniecznie szybko wymienić na inny. W tych warunkach to pieska robota. Wiatr wyrywa im płótno z rąk. Fale opryskują twarze. Muszą się śpieszyć. Bez foka jacht ma ograniczoną zdolność manewrowania. Nie można szybko zmienić kursu, co przy takim wietrze i dużej fali może być niebezpieczne. Każdy więc pracuje za dwóch.

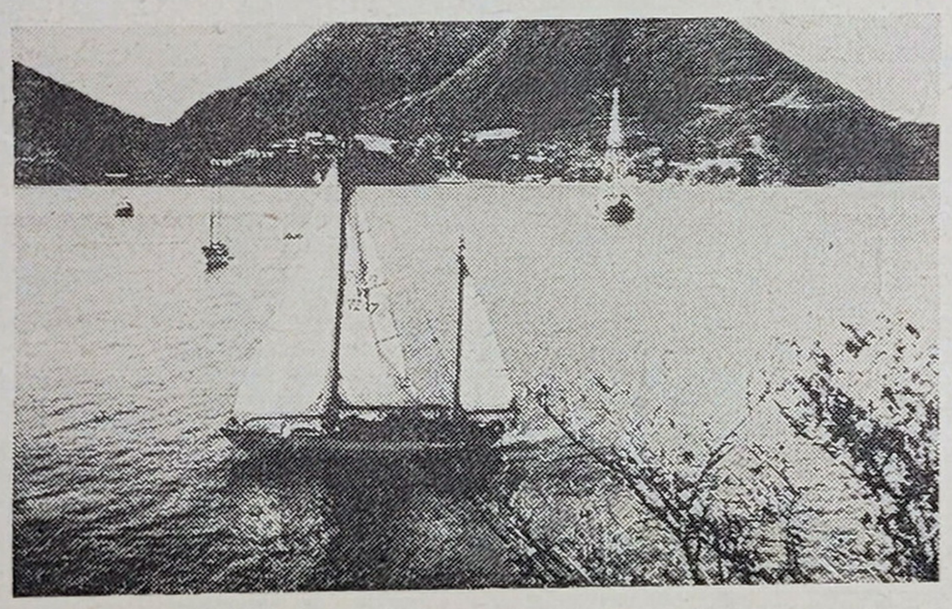

Foto: K. Pankiewicz

Nagle od lewej burty, jakieś pół mili od nich, pojawiają się światła statku. To chyba kuter.

— Płynie na nas! — woła Andrzej. Trzeba go uprzedzić, że nie jesteśmy pełnosprawni. Krzysiek wystrzelił ostrzegawczą rakietę. Natychmiast z kutra odpowiedzieli im podobnym sygnałem. Zrozumieli się. Niebezpieczeństwo spotkania — minęło.

Nikt z całej załogi nie spał tej nocy.

Ale zdarzały się w czasie wyprawy i ciepłe, słoneczne dni. Upał bywał też dokuczliwy. Tropikalne, wilgotne powietrze, 30 st. ciepła; trudno wtedy wytrzymać w małym, metalowym, bardzo silnie nagrzanym „mieszkanku". Były rafy koralowe, wyspy nieznane, porty, kraje i byli ludzie.

PREZENT OD ATLANTYKU

Nowy Rok. Powitano go na pełnym Atlantyku. Warunki żeglugi w czasie zimy są o wiele cięższe. Dokuczała niska temperatura i przeciwne wiatry. Atlantyk huśtał. Ale po pięciu miesiącach żeglugi nie czuli już tej chwiejby. Można więc uroczyście powitać 1974 rok.

Trwają właśnie przygotowania do kolacji. Szynka, szprotki, bigos i grzanki. A w kraju teraz północ. W sylwestrową noc rodziny żeglarzy składają już sobie życzenia. Tu na „Odkrywcy" jest dopiero godzina 18.00. Oni jednak chcą być razem ze swoimi, z Polską, więc trochę wcześniej witają Nowy Rok. Nie mają czarnych garniturów, tylko wyniszczone grube swetry i skafandry. Nie można się było nawet przed noworoczną kolacją wykąpać, bo ani wanny, ani wody zbyt wiele. Na oceanie każdy mógł zużyć dwa litry wody dziennie. Po ugotowaniu posiłków niewiele zostawało do mycia. I choć wokół Atlantyk — wody nie mieli prawie wcale, bo woda morska w ogóle się nie mydliła i pozostawiała na ciele warstwę soli.

Było jednak wino, którego łykiem uczcili nadchodzący rok. Prawie tak jak w kraju zasiedli przy zastawionym stole. Zamiast tańczyć, śpiewali piosenki ułożone w czasie rejsu, a wspominkom nie było końca.

Nagle usłyszeli stuk i charakterystyczne trzepotanie na pokładzie. Wybiegł Jurek. Na pokładzie leżała duża biała ryba. To był noworoczny prezent od Atlantyku dla siedmiu harcerskich śmiałków.

*

Po 166 dniach żeglugi „Odkrywca" dowodzony przez Wiesława Kłosowskiego wpłynął do Gdyni. Chłopcy przebyli 11.369 mil morskich po Bałtyku, Morzu Północnym, Atlantyku, Morzu Karaibskim — w drodze na Kubę i z powrotem. Ocean Atlantycki przecięli dwukrotnie. Odwiedzili 26 portów, w wielu z nich „Odkrywca" był pierwszym polskim jachtem. Dla załogi była to największa przygoda życia. Trudna i niebezpieczna, ale wspaniała.

MARZENA WIERZCHOLSKA

Rys. M. Kościelniak

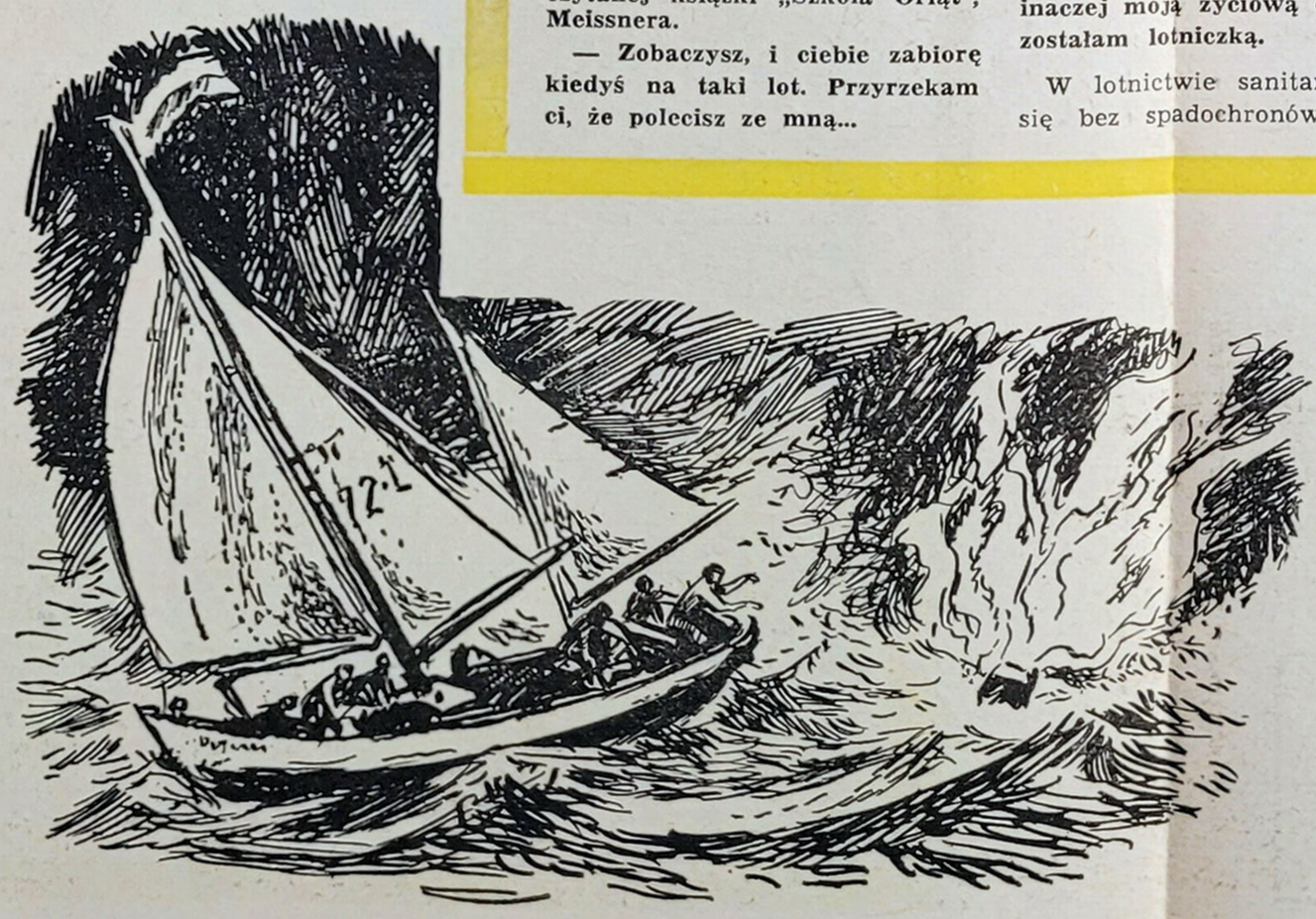

CO MOŻNA Z

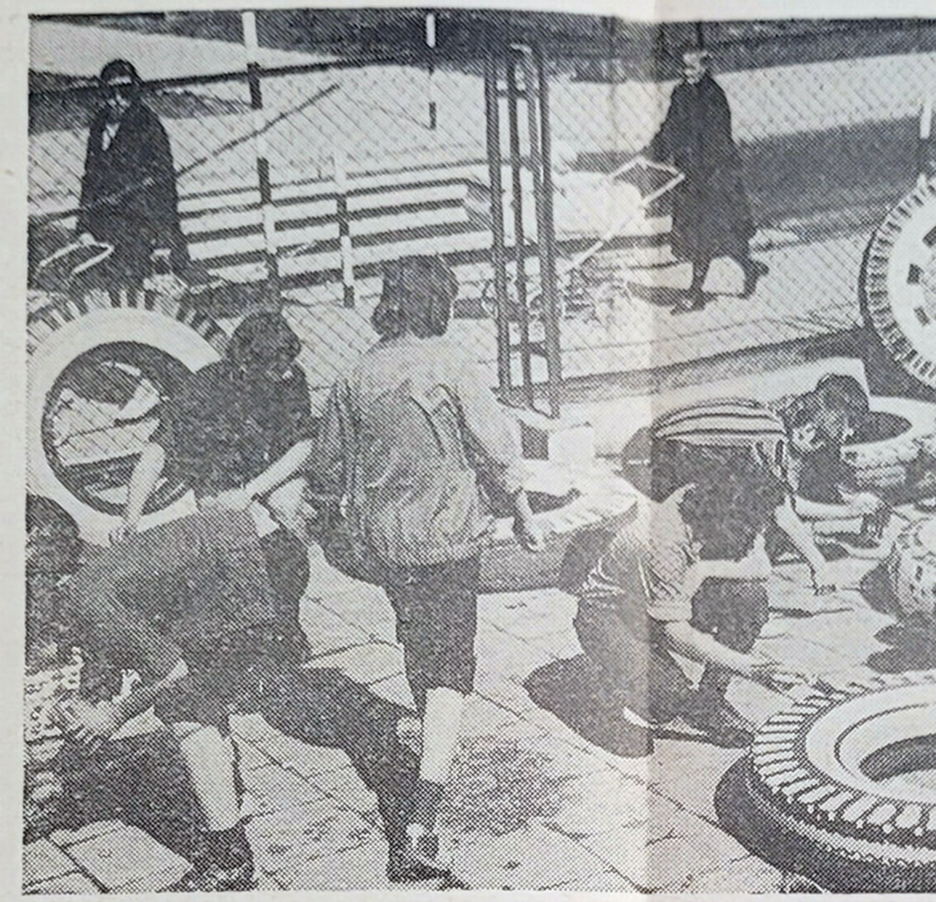

Babunia ma ponad dziewięćdziesiąt lat i jej stan zdrowia pogorszył się na tyle, że wymaga konsultacji specjalistów. Poddałam więc myśl, by do stolicy przewieźć ją sanitarnym samolotem. Przyrzekłam również, że ja też z nią polecę. W ten sposób chociaż w części dotrzymałam danego kiedyś słowa...

Było to niezmiernie dawno. Mieszkałam u babuni w Kałuszynie. Byłam dzieckiem, ale marzyłam o zawodzie pilota. Marzyłam głośno.

— Zobaczysz, babuniu, zostanę lotniczką. Będę prowadzić samoloty. Pójdę do wojska, do Dęblina, do oficerskiej szkoły. — Nie przeszkadzało wcale moim zamierzeniom to, że byłam dziewczyną i że trwała wojna. Żyłam wówczas pod wrażeniem przeczytanej książki „Szkoła Orląt", Meissnera.

— Zobaczysz, i ciebie zabiorę kiedyś na taki lot. Przyrzekam ci, że polecisz ze mną...

— Myśl lepiej, jak na chleb zarobić — kiwała głową moja babunia. Ale kiedy grymasiłam nie chcąc pić podgrzanego mleka, którego nie cierpiałam, babunia natychmiast przeistaczała się w znawcę wyżywienia pilotów. Stawiała przede mną garnuszek, mówiąc tonem nie znoszącym sprzeciwu: — Pilot musi pić dużo ciepłego mleka. Mleko rozjaśnia umysł i dobrze robi na wzrok...

Minęły lata. Los pokierował inaczej moją życiową drogą. Nie zostałam lotniczką.

W lotnictwie sanitarnym lata się bez spadochronów. Dlatego

ROBIĆ ZE STARYCH OPON?

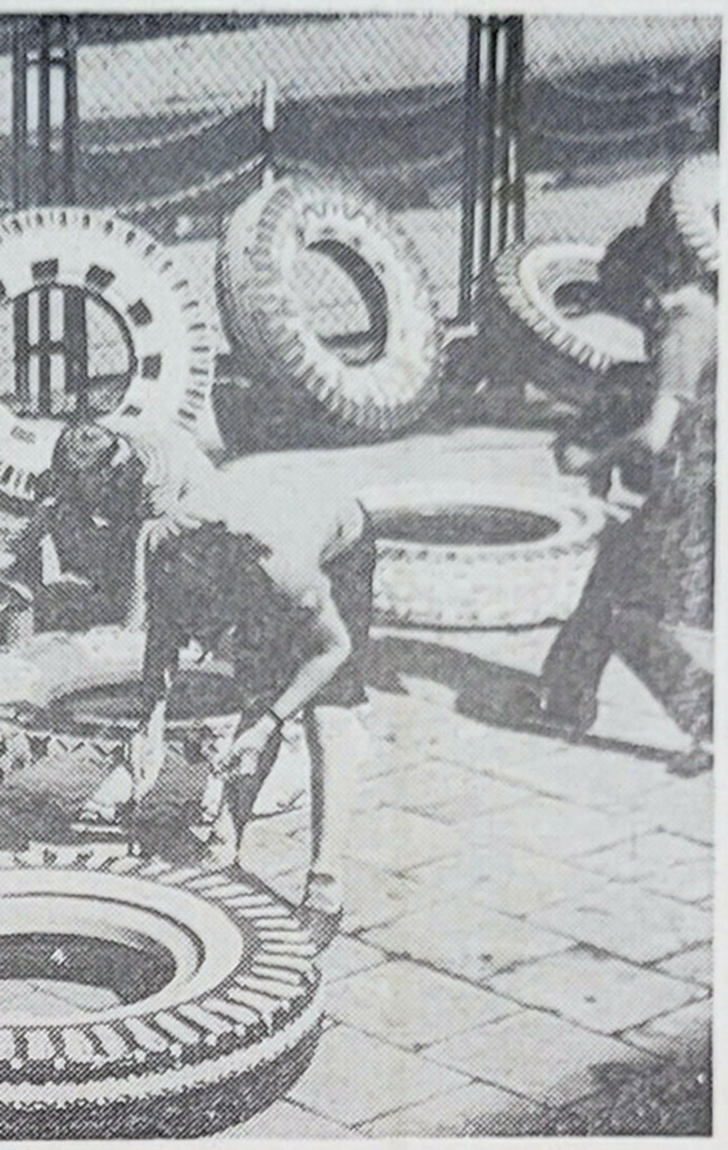

Wiosna. Wszystko się budzi z głębokiego snu zimowego, budzą się także pomysły w głowach uczniowskich. Młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 202 przy ul. Warskiego 19 w Warszawie postanowiła upiększyć swój budynek i jego otoczenie. Tak więc siódma klasa zajęła się malowaniem opon, które ofiarowała baza transportowa „Przewóz". Zdumiewa różnorodność pomysłów i inwencji w zakresie wzorów i kolorów. Opony będą spełniały rolę kwietników. Siódmoklasiści planują postawienie kiosku z napojami mlecznymi i witaminizowanym pieczywem. I tu także będą wykorzystane opony, tym razem jako siedzenia.

Wszystkie wolne chwile na pauzach a także czas po lekcjach wykorzystują do dekoracji szkoły. Pracują ochoczo i w sposób zorganizowany pod kierunkiem opiekuna harcerstwa. Na terenie szkoły działa bowiem 18 Drużyna WDHiZ im. Dzieci Warszawy, która była inicjatorem tej akcji.

Foto: M. Szymański

Zwyczajny LOT

też za sterami samolotów, na których burtach i skrzydłach widnieją czerwone krzyże, siadają najlepsi piloci. Pan Helmut Staś, który po nas przyleciał, jest pilotem I klasy i posiada tytuł Mistrza Polski w Akrobacji Samolotowej za rok 1971. Pan Staś przez wiele lat szkolił pilotów w Centrum Wyszkolenia Samolotowego w Krośnie, a od kilku lat pracuje w Lotniczym Zespole Sanitarnym w Słupsku.

Samolot typu „Gawron" nie należy do najszybszych. Czeka nas kilka godzin ciężkiego lotu, bowiem wieje boczny, porywisty wiatr.

Sanitariusz i kierowca karetki, którzy nas przywieźli na lądowisko, kręcą z niepokojem głowami. Taką staruszkę samolotem... Że też pani się nie boi...

— Moja babunia niczego się nie boi — unoszę się rodzinnym honorem.

Babunia niczego się nie bała, a jeżeli ogarniał ją kiedykolwiek lęk, umiała go ukryć przed innymi. Ponad pięćdziesiąt lat swego życia przepracowała w służbie zdrowia. Robiła zastrzyki, stawiała bańki, pomagała przychodzić na świat setkom obywateli z Kałuszyna, Mroczek, Szymonów, Kluk, Olszewic i innych pobliskich wiosek.

— Skąd się u nas wzięła taka duża rodzina? — zapytałam pewnego targowego dnia, kiedy chyba dwudziesty z kolei mijany przechodzeń, kłaniając się nisko pozdrowił moją babunię słowami: „dzień dobry, wujenko..."

— Ach, widzisz, to niby nie rodzina a rodzina — zaśmiała się wówczas babunia — pomogłam mu przyjść na świat. A potem jego dzieciom.

Ale właściwe przyczyny szacunku i miłości, którymi moją babunię darzono, zrozumiałam dopiero dużo później.

Kilometry przemierzone przez babunię po polnych drogach można by przeliczać na tysiące, chociaż nikt ich w ciągu półwiecznej służby ludziom nie liczył. Tak jak nikt nie zliczył jej dobrych słów, ani czynów. Bo moja babunia nigdy nie przyjmowała pieniędzy za swoją pracę od tych, którzy ich mieli mało. Od tych kilometrów, od marszów w mróz i deszcz babunia nabawiła się ischiasu. Pomagała innym, dla siebie niestety nigdy czasu nie miała. I chociaż przez tę chorobę poważnie utykała na nogę — nie było nawet mowy, żeby wzywana nie poszła do chorego. Chodziła podpierając się laseczką.

Moja babunia... To ona wtykała mi w rękę eter i szczypczyki, zmuszając do asysty przy zastrzykach czy przy stawianiu baniek.

— Kiedyś może ci się to przyda...

Przydało się. Niejednokrotnie w trudnych sytuacjach, kiedy w pobliżu nie było lekarza, mogłam wyzyskać swoje sanitarne umiejętności. Swój pierwszy w życiu zastrzyk zrobiłam w szpitalu frontowym mając trzynaście lat.

Siedzę bokiem do kierunku lotu. Kilkaset metrów pod nami zieleniejące pola. Lot jest trudny. Przy większych podmuchach wiatr podbija skrzydło „Gawrona" i wtedy samolot dosłownie „tańczy". Ale babunia jest spokojna. Co pewien czas pan Staś ogląda się i pyta wzrokiem — no i jak?

— W porządku! — odpowiadam uspokajającym kiwnięciem głowy.

Wreszcie w dole widzę Wisłę. Lądowanie. Samolot lekko styka się z ziemią, jakby wcale nie było wiatru. Kołujemy pod hangary.

*

Dla lekarzy, sióstr, pilota był to zwyczajny lot. Transport chorego, jakich setki i tysiące wykonują każdego roku samoloty z czerwonym krzyżem.

Tylko, że nieczęsto się zdarza, żeby z usług tych skorzystał ktoś, kto ponad pół wieku przepracował pod znakiem czerwonego krzyża.

WIESŁAWA MROCZEK

Rys. M. Teodorczyk

Pan Samochodzik i TAJEMNICA TAJEMNIC

ZBIGNIEW NIENACKI

(29)

Rys. Anna Stylo-Ginter

Na taką okazję nie musiałem nawet zbyt długo czekać. W trzy godziny później, gdy zgodnie z zaproszeniem panny Helenki znowu siedziałem w mieszkaniu przy ulicy Paryskiej (ku mojemu ubolewaniu na obiad zjawił się także pan Skwarek) u drzwi zabrzmiał dzwonek. A po chwili Ludmiła wprowadziła pana Smitha, różokrzyżowca.

— Przepraszam bardzo, że przychodzę w porze obiadu — sumitował się — ale sprawa, która mnie tu sprowadza, jest niezwykle ważna.

— Proszę siadać z nami do stołu — zaproponował gościnny pan Dohnal.

— Czytaliście chyba moje ogłoszenie w dzisiejszych gazetach — rozpoczął swe wyjaśnienie pan Smith. — Otóż już z samego rana odebrałem telefon w hotelu. Jakiś jegomość powiedział mi, że w związku z moim ogłoszeniem ma mi do przekazania pewną informację. Z sobie wiadomych powodów chce się jednak ze mną spotkać nie w hotelu, ale na Hradczanach. Poprosił, abym jako znak rozpoznawczy trzymał w ręku czerwony kwiat...

Wymieniliśmy z Ludmiłą porozumiewawcze spojrzenie. Nasze spostrzeżenia i wnioski zaczynały znajdować potwierdzenie.

— Wyznaczył spotkanie na dwunastą — ciągnął różokrzyżowiec. — Poszedłem na Hradczany i w katedrze św. Wita ów jegomość podszedł do mnie. Oświadczył, że to on dokonał włamania do muzeum na Złotej Uliczce i skradł połówkę talizmanu Kelley'a. Dał się złapać milicji i odebrano mu talizman. Ale to nie był już prawdziwy talizman, tylko falsyfikat.

— Co takiego? — zdumiała się panna Helenka.

— A tak, proszę pani. Uciekając po dokonaniu włamania, zdążył ukryć prawdziwy talizman, a falsyfikat miał przy sobie. I do waszych rąk trafił już falsyfikat.

— Nieprawdopodobne... — mruknął pan Skwarek.

— Zaproponował mi kupno prawdziwego talizmanu za pięć tysięcy koron. I pokazał mi oryginalny talizman. „Może mówi prawdę, a może nie" — zastanawiałem się. Pięć tysięcy koron to dla mnie nie taka duża suma. A skoro przyrzekłem nie szczędzić kosztów dla dobra naszej sprawy, zdecydowałem się przystać na warunki. Nie miałem tyle pieniędzy przy sobie, zdecydowałem więc, że pojedziemy razem do banku, gdzie wymienię szylingi na korony. Tak się też stało i oto macie oryginalną połówkę talizmanu.

Położył na obrusie poczerniałą od starości srebrną blaszkę.

— Mogłem ją schować do kieszeni i zabrać z sobą do Wiednia — dodał. — Ale oddaję ją do waszych rąk jako dowód moich uczciwych intencji w tej sprawie.

Wszyscy z ogromnym zainteresowaniem zaczęli oglądać blaszkę, tylko ja siedziałem sztywno przy stole.

— Wygląda na rzecz oryginalną — stwierdził pan Skwarek.

— Owszem — przytaknąłem. — Bo zrobił ją jakiś znakomity fachowiec z Pardubic. Wziął za tę robotę pięćset koron. Na spotkaniu z panem Smithem Zdenek Blacha i Robert zarobili na czysto cztery i pół tysiąca. Opłaciło się, prawda?

— Czy to ten pies? — zapytałem.

— Tak. Chyba tak... Skąd on się wziął?

— To mój pies — wyjaśniłem. — Ja pana śledziłem, panie Smith. A raczej nie pana, tylko Zdenka Blachę. Czy nie zdziwiło pana, że gdy na Blachę napa pies, okazało się, że Blacha nosi sztuczną brodę?

— Owszem, ale wytłumaczył mi, że boi się milicji.

— Nie, proszę pana. On wziął pod uwagę, że pan może w końcu skonfrontować oryginał z falsyfikatem. Poczuje się pan oszukany i być może zgłosi się pan na milicję, podając rysopis oszusta.

Pan Smith zastanowił się chwilę. A potem rzekł uśmiechając się z odrobiną zażenowania:

— Pięć tysięcy koron to dla mnie nie taka znów wielka strata. Jeśli państwo pozwolą, zabiorę ten falsyfikat do Wiednia. Może to brzydko z mej strony, ale przekażę go do zbiorów naszego bractwa. Przecież to naprawdę nie ma dla mnie znaczenia: oryginał czy dobrze zrobiony falsyfikat. Jeśli nie uda nam się odnaleźć klejnotów Kelley'a i Katza, niechże przynajmniej ta połówka talizmanu podniesie mój prestiż...

Pan Smith patrzył na mnie ze zdumieniem. Podobne spojrzenia rzucili mi: panna Helenka, pan Dohnal i pan Skwarek. Tylko Ludmiła mrugnęła na mnie znacząco, świadoma, z czego wypływa moje jasnowidztwo.

Panna Helenka przyniosła lupę, pan Dohnal — doświadczony rzeczoznawca dzieł sztuki — obejrzał dokładnie połówkę talizmanu. Potem odłożył lupę i stwierdził:

— Dał się pan nabrać, panie Smith. To jednak falsyfikat. Cyfry i rysunek zrobiono niedawno, a tylko przyczerniono całość, żeby wyglądało staro... Oryginał jest u Helenki w sejfie muzeum.

Zmartwiony pan Smith wziął do ręki lupę i własnym okiem obejrzał talizman.

— Tak, chyba macie rację — westchnął. — Dałem się nabrać. Transakcja odbyła się w pośpiechu, napadł na nas jakiś wielki pies...

Dałem znak Ludmile. Zrozumiała, o co chodzi, i wyprowadziła z łazienki Prota.

Roześmialiśmy się. Pan Smith tak bardzo chciał osiągnąć godność sekretarza bractwa. Moim zdaniem, cała działalność tego bractwa oparta była na wielkiej bujdzie. Co więc za różnica, jedna bujda więcej czy mniej?

I tak oto wyjaśniło się jedno „dlaczego".

„Ach, gdyby jeszcze udało się rozwikłać zagadkę Löwego"? — pomyślałem.

I zaraz po obiedzie poszedłem znowu na stary żydowski cmentarz. Towarzyszyła mi tylko Ludmiła, z kamerą filmową. Postanowiła uwiecznić mnie na taśmie filmowej właśnie w miejscu, gdzie kryła się „tajemnica tajemnic".

Z napięciem wpatrywałem się w bogaty sarkofag reb Löwego. Ale do mych myśli nie wkradał się żaden szept, który odkryłby przede mną jej rozwiązanie.

— Niech pan jeszcze raz podejdzie do grobu Löwego — usłyszałem głos Ludmiły, która filmowała mój spacer po starym cmentarzu.

Spełniłem jej życzenie, choć nie czułem się dobrze w roli kogoś, kogo się filmuje, utrwala jego ruchy i wyraz twarzy.

Kamera Ludmiły nareszcie przestała warczeć.

— No i co? I co? — zapytała mnie dziewczynka. — Czy wpadł panu do głowy jakiś pomysł? Miał pan taki wyraz twarzy, jakby rozwiązanie było tuż, tuż, o mały kroczek.

— Nie, Ludmiło, muszę cię rozczarować — odrzekłem. — Coraz bardziej upewniam się co do tego, że nie uda się wyjaśnić tej sprawy, jeśli nie będzie się miało drugiej połówki talizmanu. Zastanawiałem się nad zupełnie inną kwestią.

— Nad jaką, jeśli można zapytać...

— Do kogo był skierowany list Zdenka Blachy? Do Roberta czy do pana Smitha? Jeśli wierzyć opowiadaniu Smitha, to nie on wyjął list z grobowca Löwego. A jeśli nie zrobił tego nasz różokrzyżowiec, to kto to uczynił?

C.d.n.

Harcerska Służba Informacyjna donosi

I bez soli nam smakowało

Z nadejściem wiosny postanowiłyśmy na jednej ze zbiórek urządzić prawdziwe ognisko.

Rozpoczęłyśmy je piosenką „Płonie ognisko...". Był obecny cały zastęp i nasza drużynowa, która zapalała jedną stronę ogniska, a drugą — zastępowa. Nie było to takie proste, bo tradycyjnie miały do dyspozycji tylko po jednej zapałce, ale udało im się to bardzo dobrze.

Było to ognisko z pieczoną kiełbasą i pieczonymi ziemniakami. Drużynowa opowiadała o swoich szkolnych latach, kiedy sama była zwykłą harcerką, a te dziewczynki, które jeździły na obozy harcerskie, opowiadały różne ciekawe i zabawne historyjki, które się tam zdarzyły. Było bardzo przyjemnie, wszyscy słuchali z zainteresowaniem. I nam się przytrafiła mini-przygoda: gdy wygrzebałyśmy ziemniaki z z popiołu, okazało się, że... że jesteśmy na tyle zapominalskie, iż nie wzięłyśmy ze sobą soli.

Ale to nic! Naszą wiosenną zbiórkę i tak będziemy długo wspominać.

Korespondent HSI — Bożena Markowska
Pułazie-Świerże

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. RSW „Prasa—Książka—Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Telefony: 28-00-73, 21-21-29. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, telefon 26-75-39. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", 00-628 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa—Książka—Ruch", 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 25, do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa—Książka—Ruch", 00-840 Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa—Książka—Ruch", 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-861 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 1707 W-53

Zwycięzcy zawodów o puchar „Trybuny Ludu" w towarzystwie R. Szurkowskiego i swojego trenera pana Szymańskiego (z prawej). Za Szurkowskim stoi Włodek Lutomski, dalej na lewo Stach Łapawa i kapitan drużyny.

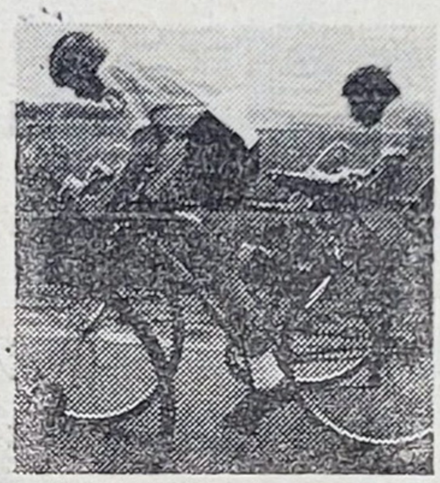

Zawody o puchar dyrektora szkoły w Naramowicach. Pierwszy Włodek Lutomski, za nim Staszek Łapawa — zwycięzca tego wyścigu.

Następcy SZURKOWSKIEGO

W gablocie pełno pucharów świadczących o kolarskich sukcesach SKS „Borant". Na czołowym miejscu wiszą wieńce laurowe zwycięzców Małego Wyścigu Pokoju — Tadka Kaczmarka i Staszka Łapawy. Jesteśmy w szkole w Naramowicach k. Poznania. Skąd wzięło się tu tylu kolarzy?

ZACZĘŁO SIĘ OD JEDNEGO

Był nim były kolarz Zbigniew Szymański, który przyszedł do naramowickiej Tysiąclatki uczyć wf-u. Przyjeżdżali do niego koledzy — Zenek Czechowski, Rysiek Szurkowski. Nie mogli pozostać niezauważeni. Zresztą lubili gawędzić z chłopcami, chętnie rozdawali autografy...

— Im się udało. I my musimy spróbować! — myśleli chłopcy.

Pierwsza inicjatywa wyszła od harcerzy. „Stworzymy drużynę kolarską!" — postanowili któregoś dnia. W praktyce nie było to takie łatwe. Okazało się, że uczeń nie może wsiąść na rower o własnych siłach... finansowych. Rower wyczynowy z wyposażeniem kosztuje 5.000 zł.

— Gdyby nie pomoc MDK „Harcówka" w Poznaniu, nie moglibyśmy nawet marzyć o sekcji kolarskiej — wspomina kapitan drużyny, Jarek Więczkowski z VIIIa.

PIERWSZE KROKI NA PRAWDZIWYCH ROWERACH

Wydawało im się, że umieją jeździć. Ponieważ nie kursował jeszcze wtedy autobus do Naramowic prawie każdy uczeń dojeżdżał do szkoły na swoich dwóch kółkach. A jednak... rowery sportowe to zupełnie co innego!

— Ciągle się psuły — wspominają. — Do pierwszego biwaku przygotowywaliśmy je trzy dni. A teraz? Moglibyśmy wyruszyć choćby dziś.

Przez półtora roku nie mieli żadnych wyników. O zwycięstwach nawet się nikomu nie śniło. Na młodzieżowych mistrzostwach Polski w Mosinie w 1970 roku zajęli dalekie miejsce.

Sukcesy przyszły niedawno. W ubiegłym roku wygrali Mały Wyścig Pokoju, a największych przeżyć dostarczyły zawody o puchar „Trybuny Ludu".

DWIE NAGRODY

Wygrywając wyścig „Trybuny Ludu" zdobyli osiem „Kobusów". Bardzo przydały się młodszym kolegom. Drugą nagrodą za zwycięstwo była wycieczka w Sudety. Oswoili się wtedy z jazdą w górach. To były niezapomniane jesienne dni. Na Biały Krzyż wjeżdżali po oblodzonej szosie, Koła kręciły się w miejscu. Nazajutrz przyszło lato, w bajecznym słońcu po suchej szosie jechali na Równicę.

— A z góry?

— Jeszcze nie zjeżdżają. To wyższa szkoła jazdy! Wbrew pozorom łatwiej pod górę — mówi trener.

PRZEZ WERTEPY PO SUKCESY

Docenić kolarza można dopiero na szosie. Chłopcy wyruszają na trening. Ścigamy ich „Fiatem" pana Szymańskiego. Trener przygląda się podopiecznym. Każdy chce pokazać swoje tempo. Czołówka osiąga 50 km/godz.

Teraz wjeżdża w boczną piaszczystą drogę. Podążamy za nią na terenowy tor przeszkód. Rozmiękłe koleiny, korzenie, kamienie, wykroty. Droga to pnie się pod górę, to opada łagodnie. Wreszcie podjazd tak ostry, że w połowie zbocza każdy rower zakopuje się w piachu. Więc go na plecy i biegiem naprzód. Staszek Łapawa z VII b jest pierwszy na szczycie.

— Dlaczego wybrał pan tak trudny teren na codzienne treningi? — pytam pana Szymańskiego.

— Tutaj chłopcy muszą patrzeć pod koła. I nabierają takiego odruchu, że potem dostrzegą każdą nierówność na szosie — tłumaczy trener.

Pora wracać. Zawodnicy ścigają się i w drodze powrotnej. Potem ustawiają rowery w hallu szkoły. Wbiegają do klasy. Nikt jeszcze nie może złapać tchu. Twarze rumiane, wesołe oczy. To najzdrowsi uczniowie! Najzłośliwsza grypa żadnego z nich się nie ima!

WSCHODZĄCE GWIAZDY SZOS

Teraz mogę spokojnie przyjrzeć się naramowickim asom kolarstwa. Stach Łapawa to ten, który zainicjował ucieczkę w czasie Małego Wyścigu Pokoju. Przed samą metą wyprzedził go Tadek Krawczyk. Rodzina Krawczyków obfituje w kolarskie talenty. Obok Tadka siedzi „Lena" — Leszek Krawczyk z piątej klasy. Jest tak niski, że trudno było wybrać dla niego rower, siodło dotyka bezpośrednio ramy. Mimo to mały, „Lena" odniósł już w tym roku poważny sukces. Zajął trzecie miejsce w zawodach międzyklubowych i to w silnej konkurencji dorosłych zawodników, którym... nie sięga do ramion.

Młodsi chłopcy z SKS „Borant" brali już nawet udział w zawodach międzynarodowych. W Cottbus (NRD) Krzysiek Kramer był szósty, „Lena" ósmy a Włodek Lutomski — jedenasty.

Najstarsi wyczynowcy (ci z ósmej klasy) należą już do poznańskiego „Lecha". Wszyscy marzą o wielkich sukcesach sportowych. Już dziś rzetelnie się do nich przygotowują.

Stach Łapawa w ciepłe dni stycznia i lutego przejechał 800 km, kapitan niewiele mniej. „Lena" i inni młodsi chłopcy zaliczyli tej wiosennej zimy po 300—400 km. Przed nimi jeszcze kilka lat trudnych, wyczerpujących treningów. A potem? Kto wie, może w czołówce Wyścigu Pokoju spotkamy naszych znajomych z Naramowic?

MARIA WRÓBLEWSKA

Najmłodsi z „Boranta" w Cottbus. Od lewej: „Lena", Rysiek Robaczewski, Andrzej Kozłowski, Krzysiek Kramer. Za plecami zawodników — trenerzy najpoważniejszych klubów kolarskich Wielkopolski. Pokładają wielkie nadzieje w naramowickich chłopcach.

Spróbuj Rozwiązać

Redaguje STANISŁAW BISKO

ANAGRAMÓWKA (3)

W każdym z podanych wyrazów pomocniczych przestaw litery tak, aby powstały inne wyrazy 6-literowe, które wpisz kolejno do pionowych kolumn diagramu. Poziomy rząd oznaczony klamrami utworzy rozwiązanie. Tylko to rozwiązanie wypisz **na kartce pocztowej** i wyślij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: **„Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa „Spróbuj rozwiązać" — zadanie nr 8.** Podaj czytelnie swój adres.

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu bonów książkowych.

WYRAZY POMOCNICZE:

1 — ŚWINIA, 2 — POTWÓR, 3 — ŁODZIE, 4 — KRÓWKA, 5 — BASZTA, 6 — POSMAK, 7 — ŁOPATA, 8 — WEKTOR, 9 — DŁAWIK, 10 — PATRYK, 11 — CZAPKA, 12 — PACHOŁ.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
{	{	{	{	{	{	{	{	{	{	{	{

CO DALEJ ÓSMA KLASO?

Kto chce grać w orkiestrze wojskowej?

4-letnia Wojskowa Średnia Szkoła Muzyczna znajduje się w Ośrodku Szkolenia Wojsk Lądowych im. Rodziny Nalazków w Elblągu. O przyjęcie do niej mogą się ubiegać absolwenci wszystkich szkół muzycznych, a także chłopcy, którzy pobierali naukę gry na instrumentach — prywatnie lub w ogniskach muzycznych. Kandydaci powinni mieć 15——18 lat; muszą posiadać obywatelstwo polskie; odznaczać się doskonałym zdrowiem i dobrą sprawnością fizyczną.

Elewi uczą się gry na flecie, fagocie, klarnecie, rogu i trąbce. Kilka godzin w tygodniu — obowiązkowa nauka gry na fortepianie. Ponieważ służba w orkiestrze wojskowej wymaga opanowania specyficznych umiejętności, słuchacze ćwiczą również rytmikę, grę w marszu i szyku paradnym oraz śpiew.

Po zakończeniu nauki uczniowie W.Ś.S.M. składają egzamin dyplomowy z przedmiotów muzycznych, społeczno-politycznych i ogólnowojskowych. Absolwentów, którzy pomyślnie złożyli egzamin, mianuje się podoficerami zawodowymi i powołuje do zawodowej służby wojskowej. Podoficerowie kierowani są następnie do jednostek wojskowych, by tam pełnili dalszą służbę w orkiestrach wojskowych.

Termin składania podań — ankiet wraz z dokumentami upływa z dniem 20 czerwca 1974 roku.

Podania przyjmują powiatowe, miejskie lub dzielnicowe sztaby wojskowe właściwe dla stałego miejsca zamieszkania zainteresowanych. W sztabach można też uzyskać szczegółowe informacje o warunkach nauki. (ba)

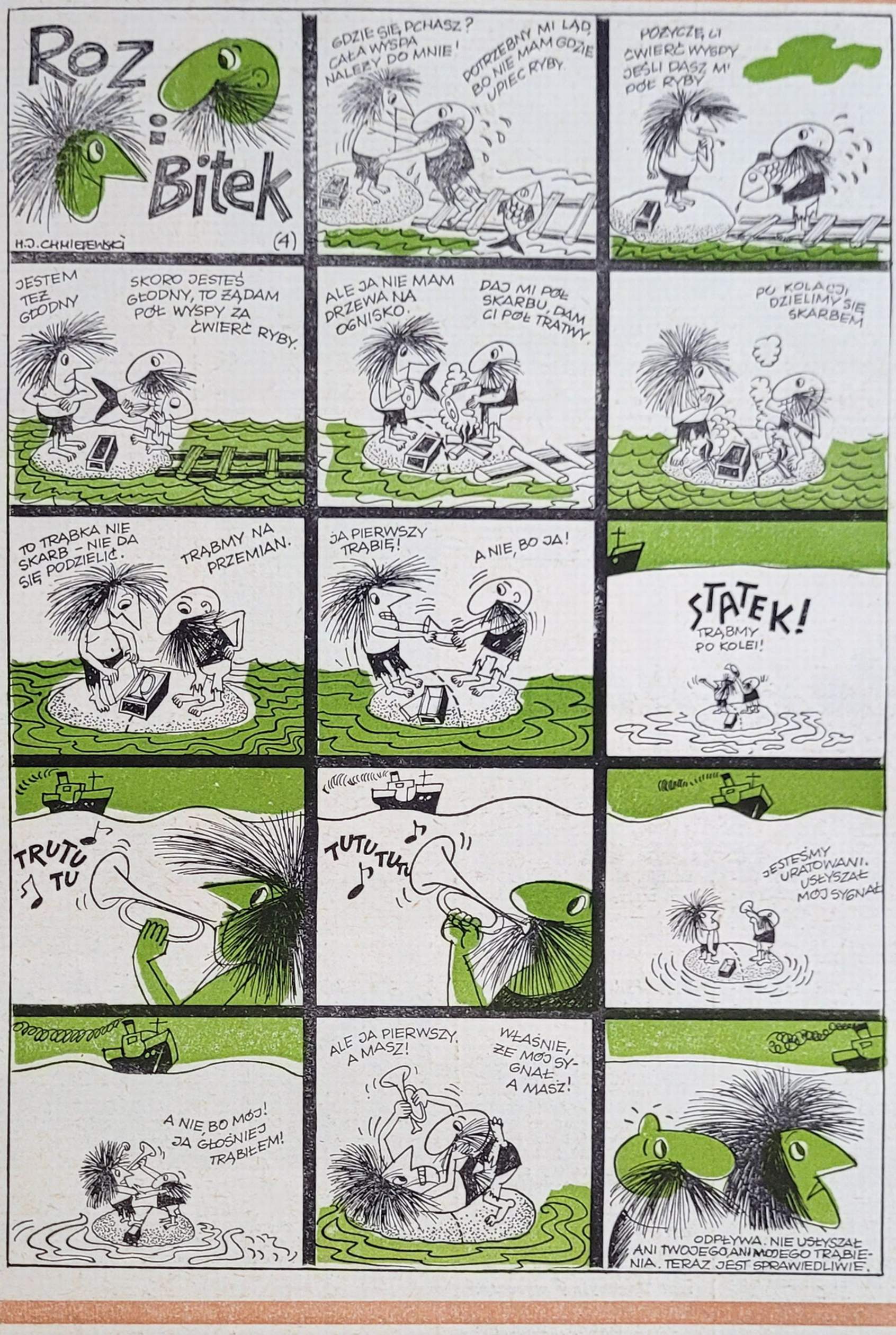

Świat MUZYKI
GAZETA MELOMANÓW

ODPOWIADA:

Jak stroić gitarę?

Pisze do nas zmartwiony Marek z Olkusza:

„Mam kłopot. Już dość dawno zakupiłem gitarę 12-strunową i nie wiem, jak się z nią obchodzić. Gitara leży, a ja jeżdżę po różnych miastach szukając w księgarniach muzycznych, pytając znajomych o książki, w których byłoby coś o gitarach 12-strunowych. Potrafię grać na gitarze (oczywiście 6-strunowej) i to nawet dobrze. Bardzo Was proszę napiszcie mi, jakie kolejne struny mają tam występować i jak należy je stroić."

Przypuszczamy, że inni mają podobne kłopoty z gitarą, odpowiadamy więc Markowi i wszystkim miłośnikom gry na gitarze:

Strój dwunastki jest taki sam, jak szóstki. Również dla obu gitar stosuje się identyczny zapis nutowy. Natomiast brzmienie dwunastki powinno być o ton niższe (jest ona instrumentem transponującym o ton niżej).

Struny strojone są parami. W tonacji są to dźwięki takie jak w szóstce: E, A, D, G, H, E. Dwie pary strun najwyższych strojone są unisono, zaś pozostałe w oktawie (patrz nuty).

W brzmieniu strój dwunastki jest niższy, najczęściej o ton, ale może być jeszcze niższy. Wysokość stroju zależy od rodzaju gitary, jakości

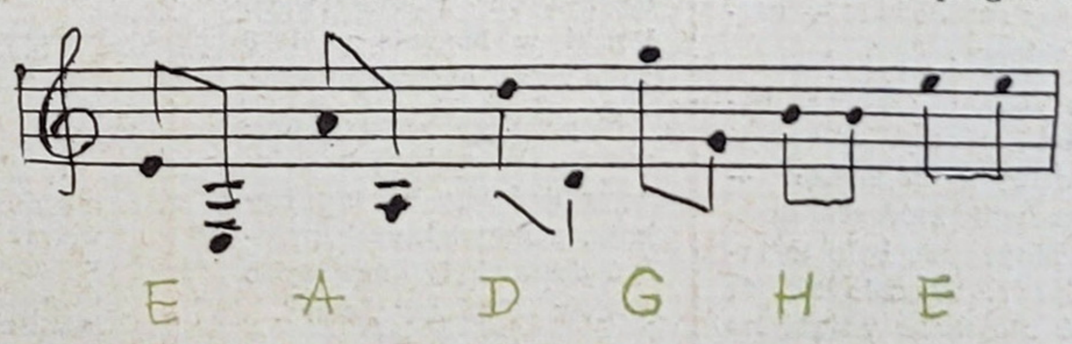

strun (ich grubości i tzw. „twardości") oraz upodobania gitarzysty.

Przed podjęciem ostatecznej decyzji, na jaką wysokość gitara będzie nastrojona, trzeba trochę poeksperymentować. Jeśli strój będzie zbyt niski, to luźne struny obijając się o progi będą brzęczeć. Przy zbyt wysokim stroju wzrośnie napięcie strun i staną się one zbyt twarde. Dokładne dociśnięcie strun do progów będzie trudne, a chwyty barowe staną się niewykonalne. Poza tym zbyt wysoki naciąg stwarza niebezpieczeństwo skrzywienia gryfu, względnie oderwania strunociągu od płyty pudła rezonansowego.

LECH NOWICKI